Fredric Brown

Astro-Mysz

(Star Mouse)

Planet Stories, Spring 1942
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Mitki, mysz, wtedy jeszcze w ogóle nie nazywał się Mitki.

Był po prostu tylko jedną z myszy, które żyły w ukryciu, pod deskami podłogi i tynkiem ścian, w domu wielkiego Herr profesora Oberburgera, niegdyś z Wiednia i Heidelbergu; uciekiniera przed zdecydowanie przesadnymi oznakami podziwu i zachwytu, wykazywanymi przez paru jego, obdarzonych większą władzą, współrodaków. Ten przesadny zachwyt nie dotyczył co prawda samego Herr Oberburgera, tylko pewnego gazu, będącego produktem ubocznym nieudanej próby wytworzenia paliwa rakietowego — który mógł być jednak wysoce przydatny do zupełnie innych celów.

Gdyby, oczywiście, profesor przekazał im poprawną formułę. Którą, nawiasem mówiąc… No cóż, w każdym razie, profesorowi udało się uciec i teraz mieszkał sobie w małym domu, w Connecticut. Podobnie zresztą, jak i Mitki.

Mała, szara myszka i mały, szary człowiek. W obojgu z nich nie było nic niezwykłego. A już szczególnie, niczego niezwykłego nie było w Mitkim. Miał rodzinę, lubił ser i gdyby tylko pośród myszy byli Rotarianie, to pewnie byłby Rotarianinem.

Herr profesor, miał oczywiście swoje drobne dziwactwa. Jako stary kawaler, nie miał nikogo z kim mógłby porozmawiać, poza sobą samym, ale uważał siebie za doskonałego rozmówcę i kiedy pracował, nieustannie utrzymywał ze sobą komunikację werbalną. Ten fakt, jak okazało się później, był istotny, ponieważ Mitki miał doskonały słuch i odbierał te całonocne monologi. Oczywiście, nie rozumiał ich. Jeżeli w ogóle coś o nich myślał, to po prostu uważał profesora za wielką i hałaśliwą super-mysz, która zdecydowanie za dużo piszczała.

– Und tehraz – zwykł mawiać do samego siebie profesor, – zobatszymy, tszy ta ruhrka jest dobhrze wyphrodukowana. Powinna pasowatsz z dokladnoszczą do jednej sztutyszętsznej cala. Achchch, jeszt naphrawdę idealna. Und tehraz…

Noc za nocą, dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Błyszczące urządzenie robiło się coraz większe, a błysk w oku Herr Oberburgera rósł w równie dużym tempie.

Urządzenie miało mniej więcej trzy i pół stopy długości, wyposażone było w jakieś dziwnie ukształtowane płaty i spoczywało na tymczasowej podstawie, stojącej na środku pokoju, służącemu Herr profesorowi, generalne do wszystkich celów. Dom, w którym mieszkali z Mitkim, był czteropokojowy, ale mogłoby się wydawać, że profesor tego nie zauważył. Początkowo planował wykorzystać duży pokój, wyłącznie jako laboratorium, ale wkrótce stwierdził, że dużo wygodniej będzie mu spać, kiedy już w ogóle sypiał, na pryczy postawionej w jednym z kątów

pomieszczenia, oraz gotować te niewielkie ilości potraw, którymi się zadowalał, na podgrzewaczu gazowym, służącym mu również do topienia złocistych ziarenek TNT w niebezpieczną miksturę, soloną i pieprzoną przez niego rozmaitymi dziwacznymi przyprawami, ale nigdy przez niego nie spożywaną.

– Und tehraz naleję to w ruhrki i zobatszymy, tszy ruhrka ssąsziednia wyssadzi tę dhrugą, kiedy die piehrwsza ruhrka jeszt…

Tej nocy, Mitki nieomal już się zdecydował, aby przeprowadzić się, wraz z całą rodziną, do bardziej stabilnej siedziby, takiej która nie trzęsie się, nie chwieje i nie próbuje podskakiwać na swoich fundamentach. Jednak Mitki, w końcu nie ruszył się z miejsca, ponieważ okazało się, że są istotne kompensacje, wszystkich tych niewygód. Wszędzie pojawiło się pełno nowych mysich dziur i — cóż za radość! — wielkie pęknięcie w tylnej ścianie lodówki, w której profesor trzymał, oprócz innych rzeczy, również i jedzenie.

Oczywiście, rurki nie były szersze, niż naczynia włoskowate, inaczej z domu, dookoła mysich dziur, nie pozostałoby nic. No i, oczywiście, Mitki nie mógł się domyślać, co przyniesie przyszłość, ani zrozumieć tyrad wygłaszanych w tego rodzaju angielszczyźnie, jaką posługiwał się Herr profesor (również i w każdym innym rodzaju języka angielskiego, jeżeli już o to chodzi). Nie mógł także nic na to poradzić, że pęknięcie w lodówce, strasznie go kusiło.

Tego poranka, profesor był bardzo radosny.

– Das paliwo, ono dziala! Die dhruga ruhrka, nie wybuchła! Und die piehrwsza, jest w kawalkach, tak jak szię szpodziewalem! Und ono jeszt znatsznie silniejhsze! Będzie mnósztwo miejszcza na phrzedzial…

Ach tak, przedział. To właśnie tam wszedł Mitki, chociaż profesor jeszcze o tym nie wiedział. W istocie rzeczy, profesor nie wiedział nawet o istnieniu Mitkiego.

– Und tehraz – powiedział do swojego ulubionego słuchacza, – to jeszt tylko sphrawa takiego zamontowania ruhr paliwowych, aby phracowaly one w przeciwnych kiehrunkach. Und wtedy…

To właśnie była chwila, w której wzrok profesora, po raz pierwszy padł na Mitkiego. Dokładniej mówiąc, padł on na szare wąsiki i czarny lśniący nosek, wystający z dziurki w podłodze.

– Ha! – stwierdził. – Tszo my tutaj mamy? Sam Myszka Mitki! Mitki, a tszo bysz powiedszal na malą phsrzejahszdszkę, w phszyszlym tygodniu? Co? No, zobathszymy.

I w ten właśnie sposób, kiedy następnym razem profesor posłał kogoś po zapasy do miasta, jego zamówienie obejmowało również łapkę na myszy — nie tego straszliwego typu, który zabija, ale coś w rodzaju drucianej klatki. I od czasu jej ustawienia, nie minęło więcej, niż dziesięć minut, kiedy czujny nosek Mitkiego wywęszył zapach sera i zaprowadził go prosto w niewolę.

Jednak, nie była to jakaś nieprzyjemna niewola. Mitki był gościem honorowym. Klatka spoczęła teraz na stole, na którym profesor wykonywał większość swojej pracy, a przez jej pręty wpychane były takie

ilości sera, że mogłyby doprowadzić każdą mysz do skrajnej niestrawności. Profesor, za to, przestał mówić sam do siebie.

– Widzihsz, Mitki, mialem zamiahr poslatsz do der labohratohrium w Hahrtfohrd, po bialą myhszkę, ale po tszo mialbym to robithsz, skohro mam tutaj tsziebie? Z pewnoszthszą jestehsz mądhszejszy, bardziej zdhrowy i lepiej pothrafisz phszethrwathsz dlugą podhróhsz, nihsz te myhszy labohratohryjne. Co nie? Ach, ruhszasz wąszikami und to znatszy tak, co? Und skohro jesztesz phszyzwytszajony do hszytsia w tsiemnych dsiurach, nie będzsziesz tsiehrpial z powodu klausthrofobii, tak jak one, nie?

I Mitki robił się coraz grubszy i coraz bardziej szczęśliwy, nie myślał już nawet o ucieczce z klatki. Obawiam się, że nawet zapomniał o rodzinie, którą zostawił. Wiedział jednak, jeżeli w ogóle cokolwiek wiedział, że nie musi się o nich martwić, ani troszeczkę. Przynajmniej do czasu kiedy, jeżeli w ogóle to nastąpi, profesor nie znajdzie i nie naprawi dziury w lodówce. A lodówki, nie cieszyły się specjalnym priorytetem w umyśle profesora.

– Und tak, Mitki, Umiesztszę tutaj tę plaską plytę — to jeszt tylko do pomocy phszy lądowaniu, w atmosfehsze. Ona i tamte pozosztale, sphrowadzą tszię bezpietsznie na dól, na tyle wolno, hsze absohrbehry wsthsząsu w phszenoszonym phszedziale, zabezpietszą tszię phszet zbyt mocnym udehszeniem w glowę, a phszynajmniej tak mi szię wydaje. – Oczywiście Mitkiemu umknął złowieszczy wydźwięk tego zastrzeżenia „tak mi się wydaje”, ponieważ umknęła mu również cała reszta tej wypowiedzi. Nie znał przecież, jak już to wyjaśnialiśmy, języka angielskiego. A przynajmniej, jeszcze nie.

Herr Oberburger, jednak, rozmawiał z nim w ten sposób, przez cały czas. Pokazywał mu nawet zdjęcia.

– Czy widsziałesz kiedysz tę mysz, po któhrej tszię nazwalem, Mitki? Co? Nie? Popathsz, to jest ohryginalna Myszka Mitki, Walta Disneya. Ale ja myszlę, hsze ty jesztesz slodhszy, Mitki.

Prawdopodobnie, profesor musiał być troszeczkę szalony, aby rozmawiać w ten sposób ze zwykłą, małą, szarą myszką. Prawdę mówiąc, musiał być troszeczkę szalony, aby zbudować działającą rakietę. Ponieważ dziwnym trafem, profesor nie był tak naprawdę wynalazcą. W całej tej sprawie z rakietą, jak to skrupulatnie wyjaśnił Mitkiemu, nie było niczego, co by było zupełnie *nowe*. Herr profesor był inżynierem; umiał brać pomysły innych ludzi i sprawiać, żeby one zaczynały funkcjonować. Jego jedyne własne odkrycie — paliwo rakietowe, które nie było paliwem — zostało przekazane Rządowi Stanów Zjednoczonych i okazało się być czymś znanym już wcześniej, ale zarzuconym, jako zbyt kosztowne do praktycznego wykorzystania.

Jak bardzo starannie wyjaśniał Mitkiemu:

– To po prostu kwesztia absolutnej dokladnohszci i pophrawnohszci matematytsznej, Mitki. Wszyhstko jest tutaj — my tylko zlohszyliśmy to razem — i co osiągnęhliśmy, Mitki?

Zawiesił na chwilę głos.

– Phrędkoszcz utszetszki, Mitki! Choćszasz ledwie-ledwie, ale to sumuje szę do phrędkosztszi utszetszki. Bytsz mohsze. Jeszt jesztsze wiele nieznanych tszynników, Mitki, w góhrnych wahrstwach atmosfehry, w die sztratosfehra. Wydaje nam szię, hsze dokładnie wiemy, ile tam jeszt powiethsza, i mohszemy oblitszycz jaki stawia opóhr, ale tszy mohszemy bycz tego absolutnie pewni? Nie, Mitki, nie mohszemy. Nigdy tam jesztsze nie byliszmy. Und der margines jeszt taki wąski, a tak wiele w sztrumieniu powiethsza mohsze na niego oddzialywatsz.

Ale Mitki nie przejmował się tym, ani odrobinę. W cieniu szpiczastego cylindra ze stopu aluminium, połyskiwał tłusty i szczęśliwy.

– Der Tag, Mitki, der Tag! Und nie będę tszię oklamywal, Mitki. Nie będę skladal tszi falszywych obietnic. Wyhruszasz w bahrdzo niebezpietszną podhróhsz, mein maly phszyjacielu.

– Mitki, daję tszi szanse pól na pól. Nie chodszi mi tutaj o wybóhr der Księhszyc lub katasztrofa, ale der Księhszyc und katasztrofa, lub jako dhruga mohszliwoszcz bezpietszny powhrót na Ziemię. Widzihsz, mój biedny mały Mitki, księhszyc nie jeszt zhrobiony z zielonego sehra, a nawet gdyby był, nie mohszesz poletszecz sobie wysoko, hszeby go zjeszcz, poniewahsz nie wystahrtszy atmosfehry, aby sphrowadzitsz tszę bezpietsznie na dól und hszeby twoje wąsziki były tszągle na swoim miejstzu.

– Móglbysz zapytatsz, dlatszego więc w ogóle tszę tam wysylam? Poniewahsz rakieta mohsze nie oszągnątsz prędkoszczi utszetszki. Und w tym wypadku, tszągle jeszt ekspehryment do phszeprowaczenia, ale zupelnie inny. Die rakieta, jehszeli nie poletszi na księhszyc, spadnie z powhrotem na die ziemię, nie? Und w tym phszypadku, pewne phszyhsządy, phszekahszą nam nowe infohrmacje, któhrych nie mamy o wielu hszetszach tam, w kosmoszie. Und ty phszekahszesz nam infohrmacje o tym tszy jesztesz tsziągle phszy hszyciu, tszy nie, tszy pochlaniatsze wsthsząsu i platy rakiety dszialają wystahrtszająco dobhsze w atmosfehsze podobnej do ziemskiej. Rozumiehsz?

– Pószniej, kiedy wyszlemy rakiety na Wenus, gdsze bycz mohsze isztnieje atmosfehra, będszemy mieli dane do oblitszenia wymaganych rozmiahrów platów i pochlaniatszy wsthsząsu, co nie? Mitki, będszesz slawny! Będszesz piehrwszym hszywym stwohszeniem, któhre poletszi ponad stratosfehrę Ziemi, w kosmos.

– Mitki, ty będszesz Aszthro-Myhszą! Zazdhrosztszę ci, Mitki, und naphrawdę hszaluję, hsze nie jesztem taki maly, jak ty, tak bym mógł tehsz poletszecz.

Der Tag, i wieko przedziału zostało zamknięte.

– Do widzenia, mała Myszko Mitki.

Ciemność. Cisza. Hałas!

„Die rakieta — jehszeli nie poleczi na księhszyc — spadnie z powhrotem na die ziemię, nie?” Tak właśnie myślał sobie profesor. Ale nawet najlepiej przygotowane plany dotyczące myszy i ludzi, często idą nie tak jak trzeba. Nawet w przypadku astro-myszy.

A wszystko to, z powodu Prxla.

Herr profesor poczuł się bardzo samotnie. Po tym, jak przez pewien czas miał do rozmowy Mitkiego, monologi stały się jakoś puste i niezbyt mu pasowały.

Pewnie znajdzie się paru ludzi, którzy powiedzą, że towarzystwo małej, szarej myszki, jest kiepskim substytutem żony, ale inni mogą się z tym stwierdzeniem nie zgodzić. A ponadto, profesor nigdy nie miał żony, za to miał mysz, z którą mógł sobie porozmawiać. Teraz utracił to ostatnie, tak więc nawet jeżeli ominęło go również to pierwsze, po prostu nie zdawał sobie z tego sprawy.

W trakcie długiej nocy, po wystrzeleniu rakiety, profesor był bardzo zajęty obserwacją lotu rakiety przez swój teleskop, śliczny, mały, ośmiocalowy reflektor, sprawdzając jej kurs, jak też zakumulowany pęd. Eksplozje gazów wyrzutowych, czyniły z rakiety niewielki, rozjaśniający się i przygasający punkt światła, możliwy do śledzenia, jeżeli ktoś wiedział gdzie patrzyć.

Ale następnego dnia, wydawało się, że nie ma nic do roboty, zaś był za bardzo podekscytowany, na to by usnąć, pomimo że próbował się położyć. Tak więc poszedł na kompromis, wykonując najpilniejsze prace domowe, myjąc garnki i patelnie. W ten sposób zajął sobie czas, do chwili, kiedy nie usłyszał serii szaleńczych, cichutkich piśnięć i nie odkrył, że kolejna szara myszka, o nieco krótszych wąsikach i ogonku niż Mitki, nie zawędrowała w pułapkę drucianej klatki.

– Patszczie, patszczie – powiedział profesor. – Co my tu mamy? Minnie? Tszy to Minnie phszyszla szukacz swojego Mitkiego?

Profesor nie był biologiem, ale akurat miał rację. To *była* Minnie. A raczej, była to partnerka Mitkiego, a więc to imię było jak najbardziej usprawiedliwione. Jaki dziwny kaprys umysłu pchnął ją do wejścia w pozbawioną przynęty pułapkę, profesor ani nie wiedział, ani go to nie interesowało. Ale był zachwycony. Szybko zaradził brakowi przynęty w klatce, wpychając między prętami solidny kawałek sera.

W ten sposób Minnie, przybyła aby zająć miejsce swojego, podróżującego w odległych przestworzach małżonka, jako powierniczka najbardziej tajnych myśli profesora. Czy martwiła się o swoją rodzinę, trudno powiedzieć, ale ona również nie musiała tego robić. Dzieci były już na tyle duże, że potrafiły dać sobie radę, zwłaszcza w domu oferującym ogromne możliwości ukrycia się i łatwy dostęp do lodówki.

– Ach, und tehraz jeszt juhsz na tyle ciemno, Minnie, hsze mohszemy sobie popathszetsz na twojego męhsza. To jeszt ogien jego rakiety na tle nieba. To phrawda, Minnie, ten ogien jest bahrdzo maly und die asztronomowie go nie zauwahszą, poniewahsz nie wiedszą gdzie pathszetsz. Ale my wiemy.

– On będzie bahdzo slawną myhszą, Minnie, ten twój Mitki, kiedy oglosimy szhwiatu o nim i o mojej rakiecie. Rozumiesz, Minnie, Nie mohszemy jesztsze tego oglositsz. Musimy potszekatsz i phszekazatsz calą hisztorię od razu. Do juthszejszego ranka, będziemy…

– Ach, jeszt tam, Minnie! Ledwie ją widatsz, ale jeszt tam na pewno. Podniosę tszę do der teleszkopu, to sama będszesz mogla popatszytsz. Ale

fokus nie jeszt dokładnie dosztrojony do twoich otszu, und ja nie wiem jak to…

– Niemal szto tyszęcy mil, Minnie, i tszągle phszyszpiesza, ale juhsz niedługo. Nasz Mitki leci zgodnie z rozkladem, a phrawdę mówiąc nawet trochę szybciej nihsz to oblitszyliszmy, co nie? Juhsz stało się pewne, hsze ucieknie ghrawitacji ziemskiej i szpadnie na księhszyc!

Oczywiście, był to czysty zbieg okoliczności, ale Minnie w tym momencie pisnęła.

– Ach tak, Minnie, moja mala Minnie. Wiem, wiem. Nigdy więcej juhsz nie zobatszymy twojego Mitkiego, a ja niemal hszaluję, hsze nasz eksperyment szię powiódl. Ale są pewne dobhre sthrony tego whszystkiego, Minnie. On będzie najslawniehszą ze whszystkich myhszy. Aszthro-Myhszą! Piehrwsze hszywe stwohszenie, któhre polecialo poza sfehrę ghrawitacyjnego phszytsiągania Ziemi!

Noc trwała bardzo długo. Od czasu, do czasu pasma wysokich chmur, przesłaniały widok.

– Minnie, uhsządzę tszię znatsznie wygodniej, nihsz tehraz, w tej malej dhrutszanej klatce. Chtsziala bysz tszuć szię wolna, chociahsz nie będziesz, tak hszeby wydawalo tszi szię, hsze nie ma hszadnych khrat, jak zwiehszętom w nowotszesnym zoo, któhre mają zamiaszt nich fosy?

I tak, żeby wypełnić sobie godzinę, w której chmury zasłaniały niebo, Herr profesor urządził Minnie jej nowy dom. Był to bok drewnianej skrzyni, o grubości mniej więcej pół cala i powierzchni stopy kwadratowej, położony na płask na stole i bez żadnej widocznej bariery, która by go otaczała.

Ale profesor obłożył go od góry na brzegach metalową folią, oraz umieścił na drugiej, większej, desce, która również wyłożona została paskami metalowej folii, otaczającymi wysepkę domu Minnie. Z obu tych obszarów metalowej folii, wychodziły przewody, podłączone do przeciwnych końcówek, stojącego w pobliżu stołu, małego transformatora.

– Und tehraz, Minnie, umiehsztszę tszię na twojej wyszpie, któhra będzie doslownie pelna zapasów sehra i wody i zobatszysz, hsze będzie to dla tsziebie doskonale miejsce do hszytsia. Jednak raz, tszy dwa, otrzymasz lagodne wsthszęsy, kiedy sphróbujesz wyjszcz poza bhszeg wyszpy. Nie będzie to tszię bahrdzo bolalo, ale nie szpodoba tszi szię to, i po pahru phróbach, nautszysz szię, hszeby tego nie robitsz ponownie, co nie? Und…

Minęła kolejna noc.

Minnie mieszkała szczęśliwie na swojej wyspie i dobrze już pojęła lekcję, której miała się nauczyć. Już nie miała ochoty wchodzić nawet na krok, na wewnętrzny pasek metalowej folii. A jednak wyspa, była prawdziwym mysim rajem. Stała na niej ściana sera, większa, niż sama Minnie. Dawało jej to zajęcie. Mysz i ser; wkrótce jedno stanie się transmutacją drugiego.

Profesor Oberburger, jednak o tym w ogóle nie myślał. Profesor był mocno zatroskany. Bez przerwy liczył coś, przeliczał ponownie, wycelowywał swój ośmiocalowy reflektor przez dziurę w dachu, a następnie wyłączał wszystkie światła…

Tak, pomimo wszystko, istniały jednak pewne korzyści z życia w stanie kawalerskim. Jeżeli ktoś chciał mieć dziurę w dachu, to po prostu wybijał sobie dziurę w dachu i nikt mu nie mówił, że do reszty zwariował. Kiedy nadejdzie zima, albo zacznie padać deszcz, to zawsze można będzie wezwać dekarza, albo użyć brezentu.

Ale słabiutkiej smugi światła nie było we właściwym miejscu. Profesor zmarszczył brwi i przeliczył wszystko od nowa, a potem jeszcze raz, przesunął teleskop o trzy dziesiąte sekundy, jednak ciągle nie mógł znaleźć nawet śladu rakiety.

– Minnie, cosz jeszt nie tak. Albo dysze phszestaly wihrowatsz, albo…

Albo rakieta nie poruszała już się po linii prostej względem punktu swojego startu. Przez prostą, oczywiście, należało w tym przypadku rozumieć krzywą paraboliczną, względem wszystkiego, poza szybkością.

Tak więc, Herr profesor zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostawała, i zaczął, przy pomocy teleskopu, przeszukiwać niebo w coraz szerszych kręgach. Minęły dwie godziny, zanim znalazł rakietę, pięć stopni od linii właściwego kursu, i oddalającą się coraz bardziej i bardziej od niego… No cóż, można było to określić tylko w jeden sposób. Spirala.

To przeklęte pudło, leciało po okręgu, okręgu, wydającym się tworzyć orbitę, wokół czegoś, czego nie mogło tam być. A potem zawężało jej średnicę, tworząc koncentryczną spiralę.

Potem… koniec. Znikło. Ciemność. Nie było widać śladu płomieni odrzutu rakiet.

Profesor odwrócił się do Minnie, a jego twarz zrobiła się biała.

– To *niemohszliwe*, Minnie. Meine własne otszy, ale to nie moglo się wydahszytsz. Nawet jehszli jedna sthrona phszestala wihrowatsz, rakieta nie mogla wpaszcz w takie raptowne kola. – Jego ołówek zweryfikował przypuszczenia. – Und, Minnie, ona hamowala szybtsziej nihsz to jeszt mohszliwe. Nawet jehszeli dysze w ogole phrzestaly wihrowatsz, pęd powinien bytsz duhszo…

Reszta nocy — teleskop i obliczenia — nie dały żadnych wyjaśnień. To jest żadnych wiarygodnych wyjaśnień. Musiał tu zadziałać jakaś siła, nie związana immanentnie z samą rakietą, i nie wynikająca z grawitacji — ani nawet z oddziaływania żadnego hipotetycznego ciała.

– Mein biedny Mitki.

Szary, nieprzenikniony świt.

– Meine Minnie, to będzie musiało pozosztatsz w sekhrecie. Nie ohszmielę szię opublikowatsz tego co widzielihszmy, poniewahsz to jeszt nie do uwiehszenia. Nie jesztem pewny, tszy ja sam w to wiehszę, Minnie. Bytsz mohsze to whszysztko dlatego, hsze jesztem phszemętszony z bhraku snu. Po phrostu wyobhrazilem sobie to, co widzialem…

Później.

– Ale, Minnie, muszimy mietsz nadzieję. To whszysztko dzialo się na wysokoszci sztu piętszdzieszętszu mil. Rakieta szpadnie z powhrotem na die ziemię. Ale nie pothrafię powiedzietsz gdzie. Myszlalem, że jeszli wydahszy się cosz takiego, będę umial wylitszytsz kuhrs, und… Ale po tych koncenthrytsznych khręgach… Minnie, nawet Einstein nie potrafilby

wylitszytsz, miejsca w stóhrym ona wyląduje. Ani nawet *ja*. Whszysztko, co mohszemy zhrobitsz, to mietsz nadzieję, że uslyhszymy, gdzie spadla.

Pochmurny dzień. Ciemna noc zazdrośnie strzegąca swoich tajemnic.

– Minnie, biedny ten nasz Mitki. Nie ma nic, co mohszna by zobatszycz…

Coś jednak było.

Prxl.

Prxl to asteroida. Tej nazwy nie nadali jej ziemscy astronomowie, ponieważ — z naprawdę istotnych powodów — nigdy jej nie odkryli. Tak więc, nazwijmy ją przy pomocy najbliższej możliwej transliteracji nazwy używanej przez jej mieszkańców. No tak, była ona zamieszkana.

Jeśli już o tym pomyśleć, to próba profesora Oberburgera, wysłania rakiety na Księżyc, miała naprawdę dziwne następstwa. Albo raczej miały je działania mieszkańców Prxl.

Czy ktoś mógłby pomyśleć, że pojawienie się asteroidy, może nawrócić pijaka? Ale niejaki Charles Winslow, mocno oszołomiony obywatel Bridgeport w Connecticut, nigdy więcej nie wziął drinka do ust, po tym jak — na środku Grove Street — mysz zapytała go o drogę do Hartford. Mysz miała na sobie jasne czerwone spodnie i jaskrawe żółte rękawiczki…

Ale to, wydarzyło się piętnaście miesięcy po dniu, w którym profesor zgubił swoją rakietę. Lepiej będzie, jeśli o wszystkim opowiemy po kolei.

Prxl to asteroida. Jedno z tych pogardliwie traktowanych ciał niebieskich, które ziemscy astronomowie nazywają robactwem nieba, ponieważ te przeklęte diabelstwa, pozostawiały swoje ślady na zdjęciach, zakłócając bardziej istotne obserwacje nowych i mgławic. Pięćdziesiąt tysięcy pcheł pasożytujących na czarnym psie nocy.

Były małe, a przynajmniej większość z nich. Astronomowie niedawno odkryli, że niektóre z nich podchodzą całkiem blisko Ziemi. Zadziwiająco blisko. W 1932 roku wybuchło poruszenie, kiedy Amor zbliżył się na odległość mniejszą niż dziesięć milionów mil — z astronomicznego punktu widzenia, to po prostu rzut beretem. Potem Apollo obciął to o połowę, a w 1936 Adonis przeszedł w odległości poniżej półtora miliona mil.

W 1937, Hermes, niecałe pół miliona, ale astronomowie naprawdę się podekscytowali, kiedy obliczyli jego orbitę i stwierdzili, że ta milowej długości asteroida, może się zbliżyć bardziej niż 220 000 mil, czyli znaleźć się bliżej niż ziemski Księżyc.

Pewnego dnia, ich podniecenie może stać się jeszcze większe, kiedy spostrzegą asteroidę, o średnicy trzech ósmych mili, tego włóczęgę kosmosu, Prxla, wykonującego tranzyt przez tarczę Księżyca, i odkryją, że często zbliża się on zaledwie na sto tysięcy mil, od naszej szybko obracającej się planety.

Jednak mogli go odkryć wyłącznie w trakcie tranzytu, ponieważ Prxl nie odbija światła. W każdym razie, nie robi tego od kilku milionów lat, ponieważ jego mieszkańcy pokryli powierzchnię planetoidy czarnym, absorbującym światło pigmentem, pochodzącym z jej wnętrza. Pomalowanie całego swojego świata, dla stworzeń o wysokości cala, było zadaniem monumentalnym. Ale z czasem, opłaciło się. Kiedy przesuwali swoją orbitę, zapewniało im to bezpieczeństwo przed wrogami. A w tych

czasach, ich nieprzyjaciółmi byli prawdziwi giganci — ośmiocalowi piraci z Deimosa. Raz, czy dwa pojawili się oni również na Ziemi, zanim nie zniknęli z kronik historii. Sympatyczni mali giganci, którzy zabijali, ponieważ sprawiało im to przyjemność. Zapisy historyczne, w obecnie pogrzebanych miastach na Deimosie, mogłyby wyjaśnić, na przykład, co się stało z dinozaurami. Albo dlaczego tak obiecujący Cro-Magnończycy, zniknęli, w trakcie realizacji swojego potencjału, zaledwie parę minut, w skali kosmicznej, po tym jak odeszły w niebyt dinozaury.

Prxl, jednak, przetrwał. Malutka planetka, nie odbijała już promieni słonecznych, a więc po zmianie jej orbity, zginęła z oczu kosmicznych zabójców.

Prxl. Ciągle istniała na nim cywilizacja. Cywilizacja trwająca od milionów lat. W późniejszych, zdegenerowanych czasach, czarne pokrycie asteroidy zostało zachowane i regularnie je odnawiano, bardziej dla podtrzymania tradycji, niż z powodu obaw przed nieprzyjaciółmi. Potężna, lecz pozostająca w stagnacji, cywilizacja, trwająca na planetce, mknącej przez kosmos, jak pocisk karabinowy.

I Myszka Mitki.

Klarloth, główny naukowiec rasy naukowców, poklepał swojego asystenta Bemja po tym, co można by nazwać jego ramieniem, gdyby w ogóle coś takiego posiadał.

– Zobacz – powiedział – co zbliża się do Prxl. Ewidentnie sztuczny napęd.

Bemj spojrzał na ekran-ścianę, a następnie przesłał falę myślową do mechanizmu, który podkręcił powiększenie tysiąckrotnie, modyfikując pola elektroniczne.

Obraz skoczył, rozmywając się, a po chwili stabilizując.

– Wyrób przemysłowy – oznajmił Bemj. – Skrajnie prymitywny, muszę powiedzieć. Prosta rakieta, napędzana paliwem eksplozyjnym. Poczekaj, sprawdzę skąd ona pochodzi.

Zebrał odczyty z przyrządów pomiarowych, rozmieszczonych wokół płyty ekranu, i przerzucił je w formie myślowej do psychocewki komputera, czekając chwilę aż ta najbardziej złożona z maszyn, przetrawi wszystkie istotne czynniki i przygotuje odpowiedź. Potem, niecierpliwie, wsunął swój umysł w kontakt projektora urządzenia. Również Klarloth podsłuchiwał niemą transmisję.

Dokładne miejsce na Ziemi i dokładny czas startu. Niemożliwe do wytłumaczenia odzwierciedlenie krzywej trajektorii rakiety i punkt na tej krzywej, w którym ona zboczyła, z powodu grawitacyjnego przyciągania przez Prxl. Miejsce docelowe lotu — czy też oryginalnie planowane miejsce docelowe — było oczywiste, ziemski Księżyc. Czas i miejsce dotarcia do Prxl, jeżeli obecny kurs rakiety pozostanie bez zmian.

– Ziemia – medytacyjnie stwierdził Klarloth. – Kiedy ostatni raz ich sprawdzaliśmy, bardzo dużo im brakowało do lotów rakietowych. Toczyły się tam jakieś tam krucjaty, wojny przekonań, nieprawdaż?

Bemj skinął przytakująco głową.

– Katapulty. Łuki i strzały. Od tego czasu, zrobili potężny krok naprzód, nawet jeśli to tylko wczesna, eksperymentalna forma rakiety. Czy zniszczymy ją, zanim tutaj dotrze?

Klarloth z zamyśleniem pokręcił głową.

– Obejrzyjmy ją sobie. Być może oszczędzi nam to wyprawy na Ziemię: będziemy mogli całkiem nieźle ocenić ich bieżący poziom rozwoju, na podstawie samej rakiety.

– Ale w takim razie będziemy musieli…

– Oczywiście. Skontaktuj się ze Stacją. Powiedz im, żeby wycelowali w rakietę swoje ściągaczo-odpychacze i skierowali ją na tymczasową orbitę, do chwili przygotowania lądowiska. I niech nie zapomną wychłodzić paliwa eksplozyjnego, zanim sprowadzą rakietę na dół.

– Tymczasowe pole siłowe, wokół miejsca lądowania — tak na wszelki wypadek?

– Naturalnie.

Tak więc, pomimo niemal całkowitego braku atmosfery, w której mogłyby działać jej płaty, rakieta zeszła na dół bezpiecznie, i tak delikatnie, że Mitki w swoim ciemnym przedziale wiedział tylko, że wreszcie skończył się ten straszny hałas.

Mitki od razu poczuł się lepiej. Zjadł jeszcze trochę sera, w który jego przedział został suto zaopatrzony. Potem wrócił do próby wygryzienia dziury w calowej grubości drewnianej wyściółce przedziału. Wyściółka z drewna, należała do pomysłów Herr profesora, mających na celu poprawienie stanu umysłowego Mitkiego. Zdawał sobie sprawę z tego, że próby wygryzienia sobie drogi wyjścia, dadzą Mitkiemu zajęcie na drogę, chroniąc go przed wpadnięciem w nerwową histerię. Pomysł zadziałał, ponieważ Mitki był zajęty, nie ucierpiał więc psychicznie w swoim ciemnym więzieniu. A teraz, kiedy wszystko się uspokoiło, zaczął jeszcze bardziej pracowicie przegryzać się przez wyściółkę i był bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek, w swojej dumie nieświadom, że kiedy przedostanie się przez drewno, napotka na metalową blachę, której nie da rady ugryźć. Ale nawet lepsi od Mitkiego, napotykali w życiu na coś, czego nie dawali rady ugryźć.

Tymczasem Klarloth, Bemj i kilka tysięcy innych Prxlian, stali dokoła, wpatrując się w ogromną rakietę, która nawet leżąc na boku, wznosiła się wysoko ponad ich głowami. Niektórzy z młodszych, zapominając o niewidocznym polu siłowym, podchodzili za blisko i pośpiesznie się wycofywali, żałośnie masując sobie bolące głowy.

Sam Klarloth był w psychografie.

– W rakiecie jest jakaś żywa istota! – zawołał do Bemja. – Ale odbierane wrażenia są zakłócone. Jedno stworzenie, lecz nie jestem w stanie śledzić jego procesów myślowych. W tej chwili, chyba, robi coś przy pomocy zębów.

– To nie może być żaden z Ziemian, przedstawiciel dominującej rasy. Każdy osobnik jest nawet jeszcze większy, niż ta olbrzymia rakieta. To gigantyczne stworzenia. Być może, skoro nie mogli zbudować wystarczająco dużej rakiety, aby zmieścił się w niej któryś z nich, wysłali jakieś stworzenie doświadczalne, takie jak nasze woorathy.

– Wydaje mi się, Bemj, że twoje domysły są słuszne. No cóż, jeśli dokładnie przebadamy jego umysł, może jednak uda nam się dowiedzieć na tyle dużo, aby oszczędziło nam to podróży kontrolnej na Ziemię. Mam zamiar otworzyć właz.

– Ale powietrze… ziemskie stworzenia potrzebują ciężkiej, bardzo gęstej atmosfery. Ono tutaj nie przeżyje.

– Oczywiście, wykorzystamy pole siłowe. Zatrzyma powietrze w środku. Niewątpliwie, w rakiecie musi być jakieś źródło powietrza, inaczej stworzenie nie przetrwałoby podróży.

Klarloth podszedł do przyrządów sterujących i pole siłowe wypuściło przed siebie cztery niewidoczne nibynóżki, którymi obróciło pokrywę odkręcanego włazu rakiety, a następnie sięgnęło do jej środka, otwierając wewnętrzne drzwiczki, do samego przedziału.

Cały Prxl obserwował, wstrzymując oddech, jak z ziejącego w górze ogromnego otworu, wysuwa się monstrualny szary łeb. Grube wąsy, równie długie jak ciało Prxlianina…

Mitki zeskoczył na podłoże i zrobił krok do przodu, co spowodowało, że uderzył mocno swoim czarnym nosem… w coś, czego w tym miejscu nie było. Pisnął i odskoczył do tyłu, opierając się o rakietę.

Na twarzy Bemja, spoglądającego do góry na potwora, pojawił się niesmak.

– Ewidentnie znacznie mniej inteligentny niż woorath. Chyba równie dobrze, możemy od razu włączyć miotacz promieni.

– Wcale nie – przerwał mu Klarloth. – Zapomniałeś o pewnych, dosyć oczywistych faktach. Oczywiście, to stworzenie nie jest inteligentne, ale podświadomość każdego zwierzęcia, przechowuje w swym wnętrzu wszystkie wspomnienia, wrażenia, wszystkie obrazy zmysłowe, których ono kiedykolwiek doświadczyło. Jeżeli to stworzenie, słyszało kiedyś mowę Ziemian, albo widziało jakiekolwiek ich dzieła — poza tą rakietą — to każde słowo, każdy obraz wrył się w jego pamięć nieusuwalnie.

– Naturalnie. Jaki ze mnie głupiec, Klarloth. No cóż, jedna rzecz jest oczywista, oceniając na podstawie samej rakiety: przez co najmniej kilka najbliższych millenniów, nie będziemy musieli jeszcze obawiać się ziemskiej nauki. A więc, nie ma powodu do pośpiechu, co bardzo szczęśliwie się składa. Możemy bowiem cofnąć pamięć tego stworzenia, do chwili jego narodzin, a potem prześledzić każde z wrażeń zmysłowych, które będzie potrzebne psychografowi… Zajmie to nam, no cóż, czas, odpowiadający wiekowi stworzenia, niezależnie od jego długości, plus czas niezbędny dla nas, aby zinterpretować i przyswoić sobie każde z wrażeń.

– A jednak, to nie będzie konieczne, Bemj.

– Nie? Ach, chodzi ci o fale X-19?

– Dokładnie. Jeśli skupimy je na centrum mózgowym tego stworzenia, to, bardzo precyzyjnie dostrojone, mogą one, nie zakłócając oryginalnych wspomnień, wzmocnić jego inteligencję — w tej chwili, prawdopodobnie wynoszącą około 0.0001 pełnej skali — do poziomu stworzenia rozumnego. Niemal automatycznie, w trakcie tego procesu, stworzenie zasymiluje swoje własne wspomnienia i zrozumie je tak, jakby było inteligentne, już wtedy, kiedy odbierało doznawane wrażenia.

Po chwili Klarloth dodał:

– Rozumiesz Bemj? Ono automatycznie odrzuci nieistotne dane i będzie mogło odpowiedzieć na nasze pytania.

– Ale nie zrobi się aż tak inteligentne, jak…?

– Jak my? Nie, fale X-19 nie są w stanie aż tak wiele osiągnąć. Powiedziałbym, że może około 0.2 pełnej skali. To, oceniając na podstawie konstrukcji rakiety, połączonej z tym co wiemy o Ziemianach z naszej ostatniej tam wyprawy, odpowiada mniej więcej ich obecnemu miejscu na skali inteligencji.

– Hmmm, tak. Na tym poziomie, stworzenie będzie mogło wystarczająco dobrze zrozumieć swoje wspomnienia z Ziemi, jak również, nie będzie niebezpieczne dla nas. Równie inteligentne, jak Ziemianin. Dokładnie odpowiada to naszym celom. Co dalej, nauczymy je naszego języka?

– Poczekaj – przerwał mu Klarloth. Przez chwilę przyglądał się dokładniej wskazaniom psychografu. – Nie, myślę że nie. Będzie miało swój własny język. Widzę w jego podświadomości wspomnienia wielu, bardzo długich rozmów. To dziwne, wszystkie one wydają się być monologami, wygłaszanymi przez jedną osobę. Jednak będzie miało swój język — co prawda bardzo prosty. Uchwycenie istoty naszego sposobu komunikacji, zajęłoby mu zbyt dużo czasu, nawet przy dalszej kuracji. Ale my możemy nauczyć się jego języka, w kilka minut, w czasie kiedy leży ono pod maszyną X-19.

– Ale czy ten stwór rozumie coś z tego języka, już teraz?

Klarloth ponownie przyjrzał się psychografowi.

– Nie, nie wydaje mi się, żeby… Chwileczkę, jest pewne słowo, które chyba coś dla niego znaczy. To słowo brzmi „Mitki”. Zdaje się, że stworzenie tak się nazywa, i jak sądzę dzięki temu, że słyszało je wiele razy, jakoś mgliście kojarzy je ze sobą.

– Jakieś pomieszczenie dla niego — ze śluzami powietrznymi i tego rodzaju rzeczami?

– Oczywiście. Poleć, aby je zbudowano.

Stwierdzenie, że dla Mitkiego, było to dziwne doświadczenie, byłoby grubym niedopowiedzeniem. Wiedza, to dziwna rzecz, nawet jeśli zdobywana jest stopniowo. Wlać jej tylko komuś trochę do głowy…

Było jeszcze parę spraw, które trzeba było rozwiązać. Na przykład, kwestia strun głosowych. Nie były one przystosowane do języka, którym, jak zaczynał rozumieć, władał. Bemj to skorygował. Nie można było nazwać tego operacją, ponieważ Mitki — nawet przy całej swojej świeżo nabytej świadomości — nie zdawał sobie sprawy z tego co się dzieje i był w tym czasie w pełni przytomny. Oni zaś ze swojej strony, nie wtajemniczyli Mitkiego w sprawy wymiaru J, przy pomocy którego można dostać się do wnętrza różnych rzeczy, nie naruszając ich zewnętrza.

Uważali, że tego typu sprawy nie były Mitkiemu potrzebne, a w każdym razie, znacznie bardziej byli zainteresowani uczeniem się od niego, a nie uczeniem jego. Bemj, Klarloth i kilkunastu innych, uważanych za godnych tego przywileju. Jeżeli w danej chwili nie rozmawiał z nim ten, to robił to tamten.

Ich pytania, pomagały mu w rozwoju swojej własnej inteligencji. Zazwyczaj, nie zdawał sobie sprawy z tego, że zna odpowiedź na jakieś pytanie, do chwili, kiedy nie zostało ono zadane. Dopiero potem składał wszystko razem, nie wiedząc nawet jak to robił (a przynajmniej nie więcej niż ty lub ja wiemy o tym, w jaki sposób posiadamy wiedzę o różnych sprawach), i udzielał im odpowiedzi.

Bemj:

– Tszy ten język, któhrym mówihsz, jeszt językiem uniwersalnym?

A Mitki, chociaż nigdy nawet o tym wcześniej nie pomyślał, miał gotową odpowiedź:

– Nie, nie jeszt. To język Angielski, ale pamiętam, hsze Herr profesohr mówil tehsz o innych językach. Sądzę, hsze sam, potsządkowo mówil innym językiem, ale w Amehryce, zawhsze mówil po angielsku, aby lepiej go poznatsz. To piękny język, niephrawdahsz?

– Hmmm – stwierdził Bemj.

Klarloth:

– A twoja rasa, myhszy. Tszy one są dobhsze thraktowane?

– Nie phszez większoszcz ludzi – odparł Mitki. I wyjaśnił to dokładniej.

– Chczalbym cosz dla nich zhrobicz – dodał jeszcze. – Posluchajtsze, tszy nie mógł bym zabhratsz ze sobą z powhrotem wiedzy o tym phrocesze, któhry na mnie zastoszowaliszcie? Uhszycz go na innych myhszach i stwohszycz rasę supehrmyhszy?

– A dlatszego by nie? – spytał Bemj.

Spostrzegł, że Klarloth spogląda na niego dziwnym wzrokiem i przerzucił swój umysł, wchodząc w kontakt z głównym naukowcem, pozostawiając Mitkiego poza tą rozmową bez słów.

– Wiem, oczywiście – powiedział Bemj do Klarlotha, – to prowadzi prosto do kłopotów. Dwie równe klasy tak odmiennych od siebie istot, jak myszy i ludzie, nie mogą żyć razem w przyjaźni. Ale dlaczego mielibyśmy uznać to, za coś niepożądanego? Powstałe dzięki temu zamieszanie, spowolni postęp na Ziemi — da nam jeszcze parę milleniów więcej spokoju, zanim Ziemianie odkryją naszą tutaj obecność i rozpoczną się problemy. Przecież znasz tych Ziemian.

– Ale dałbyś im fale X-19? Oni mogliby przecież…

– Nie, oczywiście, że nie. Ale możemy wyjaśnić Mitkiemu, jak zbudować bardzo toporną i ograniczoną maszynę, która je emituje. Na tyle prymitywną, że mogłaby być stosowana wyłącznie do określonych zadań, przekształcenia umysłów myszy, z poziomu 0.0001, do 0.2, czyli do poziomu Mitkiego i tych tłumów Ziemian.

– To możliwe – zakomunikował Klarloth. – Pewne jest, że przez całe eony, nie będą w stanie zrozumieć podstawowych zasad jego działania.

– Ale czy nie będą mogli skorzystać, nawet z takiej prymitywnej maszyny, do podniesienia swojego własnego poziomu inteligencji?

– Zapominasz Bemj o podstawowym ograniczeniu promieni X-19. Nikt nie jest w stanie zbudować projektora, zdolnego do wywindowania dowolnego umysłu, do punktu na skali, przewyższającego jego własny. Nawet my.

Cała ta rozmowa toczyła się, oczywiście, poza głową Mitkiego, w bezgłośnym prxliańskim.

Potem nastąpiły kolejne wywiady z Mitkim, i jeszcze dalsze.

Znów Klarloth:

– Mitki, oszthszegamy tszię phszed jedną sphrawą. Bądsz osthrohszny z elekthrytsznoszczą. Der nowy uklad molekulahrny twojego mózghu — on jeszt niesztabilny, und…

Bemj:

– Mitki, tszy jesztesz pewien, hsze twój Herr profesohr jeszt der najbahrdziej zaawansowanym tszlowiekiem, ze whszysztkich zajmujących się ekszpehrymentami z rakietami?

– Genehralnie tak, Bemj. Jeszt jesztsze pahru innych, intehresujących hszię pohsztszególnymi elementami, takimi jak matehrialy wybuchowe, matematyka, asthrofizyka, któhszy na ich temat mogą wiedzietsz więcej, ale nie wiele więcej.

– To dobhsze – odparł Bemj.

Niewielka szara myszka górowała nad znacznie mniejszymi półcalowymi Prxlianami, jak ogromny dinozaur. Chociaż Mitki był łagodnym, roślinożernym stworzeniem, mógłby zabić kilku z nich jednym ugryzieniem. Jednak, oczywiście, nigdy mu nawet do głowy nie przyszło, żeby coś takiego zrobić, ani im, aby się obawiać, że mógłby mieć na to ochotę.

Przekopali się przez cały jego umysł. Wykonali również przy nim całkiem niezłą pracę, jeśli chodzi o badania fizyczne, ale to było robione przez wymiar J, tak więc Mitki nawet o tym nie wiedział.

Odkryli, co nim kieruje i wyciągnęli z niego wszystko co wiedział, a nawet parę rzeczy, z których nie zdawał sobie sprawy. Przez ten czas, całkiem mocno się do niego przywiązali.

– Mitki – powiedział pewnego dnia Klarloth, – wszysztkie der cywilizowane rasy na Ziemi, noszą ubhrania, co nie? A więc, jehszli masz podnieszcz inteligencję myhszy do poziomu ludzi, tszy nie byloby mądhsze hszebysz ty równiehsz noszil ubhranie?

– Doskonaly pomysl, Herr Krahrloth. Und nawet wiem, jaki sztyl by mi szię podobal. Der Herr profesohr kiedysz pokazal mi zdjęcze myhszy nahrysowanej phszez der ahrtysztę Disneya, und ta myhsz miala ubhranie. Der myhsz nie była tak naphrawdę hszywa, tylko była wymyszloną myhszą z opowiehszczi, und der profesohr nadal mi, po tej myhszy Disneya, imię.

– Co to bylo za ubhranie, Mitki?

– Jasne tszehrwone szpodnie z dwoma wielkimi hszóltymi guzikami z phszodu i dwoma z tylu, hszóltymi butami na tylnie lapy i parą hszóltych rękawitszek na przednie. Jesztsze dziuhra w siedzeniu szpodni, tak by miehsztszil hszię w niej der ogon.

– W pohsządku, Mitki. Cosz takiego będzie dla tszebie gotowe za piętsz minut.

Było to w przeddzień odlotu Mitkiego. Początkowo Bemj sugerował, żeby poczekać do czasu, gdy wydłużona orbita Prxl ponownie zaniesie asteroidę na odległość stu pięćdziesięciu tysięcy mil od Ziemi. Ale, jak

wskazał mu to Klarloth, stanie się to dopiero za pięćdziesiąt pięć ziemskich lat, a Mitki nie przeżyje tak długo. Chyba, że oni… I Bemj od razu zgodził się, że lepiej nie ryzykować wysłania na Ziemię takiej tajemnicy.

Poszli więc na kompromis, zatankowali rakietę Mitkiego czymś co powinno umożliwić mu przebycie tych nieco ponad miliona dwustu pięćdziesięciu tysięcy mil, które będzie musiał pokonać. Tą tajemnicą, w ogóle się nie przejmowali, ponieważ paliwo miało się wyczerpać w chwilę po wylądowaniu rakiety.

Dzień odlotu.

– Mitki, zhrobiliszmy whszystko co hszię dalo, hszeby usztawitsz rakietę i tszas wylotu tak byhsz wylądowal w miejszczu twojego sztahrtu z Ziemi, albo w jego poblihszu. Ale nie mohszesz otszekiwacz wysokiej dokladnoszczi phszy tak dlugim locie. Wylądujehsz gdziesz blisko. Rehszta zelehszy juhsz od tsziebie. Wyposahszyliszmy twoją rakietę na whszelki mohszliwy phszypadek.

– Dziękuję, Herr Klahrloth, Herr Bemj. Do widzenia.

– Do widzenia, Mitki. Smutno nam, że nas opusztszasz.

– Do widzenia, Mitki.

– Do widzenia, do widzenia…

Jak na milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy mil, celność była naprawdę imponująca. Rakieta wylądowała w estuarium Long Island Sound, dziesięć mil od Bridgeport i około sześćdziesięciu mil od domu profesora Oberburgera w pobliżu Hartford.

Oczywiście, przygotowali ją do lądowania w wodzie. Rakieta poszła na dno, ale zanim znalazła się więcej niż kilkadziesiąt stóp pod powierzchnią wody, Mitki otworzył właz — specjalnie przygotowany do tego, aby otworzyć go od środka — i wydostał się na zewnątrz.

Na zwykłe ubranie założył zgrabny, niewielki kombinezon do nurkowania, który powinien bez problemu zapewnić mu ochronę, do każdej rozsądnej głębokości, oraz który, ponieważ był lżejszy od wody, wypchnął go szybko na powierzchnię, gdzie mógł już swobodnie otworzyć swój hełm.

Syntetycznego jedzenia miał takie ilości, że mogły mu one wystarczyć na tydzień, jednak, jak się potem okazało, nie było mu aż tyle potrzebne. Przepływająca nocą łódź z Bostonu, zabrała go do Bridgeport na swoim łańcuchu kotwicznym, a kiedy ląd znalazł się już w zasięgu wzroku, zgodnie z tym co wcześniej obiecał Klarlothowi, pozbył się stroju do nurkowania, zatapiając go na dnie, po przebiciu niewielkich pływaków, utrzymujących go na powierzchni wody.

Niemal instynktownie, Mitki rozumiał, że dopóki nie dotrze do profesora Oberburgera i nie opowie mu swojej historii, lepiej będzie unikać spotkań z ludźmi. Największym zagrożeniem, jakie napotkał, były szczury, na które natknął się w miejscu, w którym dopłynął do brzegu. Były dziesięć razy większe od niego i miały kły, którymi dwoma kłapnięciami, mogłyby go rozerwać na strzępy.

Jednak umysł zawsze zapanuje nad materią. Mitki wskazał tylko palcem we wspaniałej żółtej rękawiczce oraz oznajmił: „Precz”, i szczury

się wyniosły. Nigdy jeszcze nie widziały kogoś takiego jak Mitki, i były pod ogromnym wrażeniem.

Jeżeli już o tym mówimy, to właśnie wtedy, spotkał tego pijaka, którego wypytywał o drogę do Hartford. Wspominaliśmy o tym epizodzie już wcześniej. To był jedyny wypadek, kiedy Mitki próbował nawiązać bezpośredni kontakt z dziwnymi istotami ludzkimi. Oczywiście, podjął wcześniej wszelkie możliwe środki ostrożności. Wygłaszał swoje uwagi ze strategicznie dobranego miejsca, położonego jedynie parę cali od dziury, do której w razie czego mógłby uciec. Ale to pijak uciekł z wrzaskiem, a nie on, nie zatrzymując się nawet na chwilę, aby odpowiedzieć na pytanie Mitkiego.

W końcu sam dotarł do domu. Pokonał na piechotę drogę do północnego skraju miasteczka i ukrywał się za stacją benzynową, aż usłyszał jak jeden z tankujących benzynę kierowców, dopytuje się o drogę do Hartford. Kiedy samochód ruszył w dalszą drogę, Mitki był już w środku, jako pasażer na gapę.

Reszta nie była już trudna. Obliczenia Prxlian określiły, że punkt startu rakiety położony był o pięć ziemskich mil, na północny zachód od miejsca, które na ich mapach teleskopowych wyglądało jak miasto, zaś z rozmów z profesorem, Mitki wiedział, że nazywa się ono Hartford.

Był w domu.

– Dzień dobhry, panie phrofesohsze.

Herr profesor Oberburger uniósł wzrok, zaskoczony. Nikogo nie było widać.

– Slucham? – spytał pustkę. – Kto to?

– To jesztem ja, panie phrofesohsze. Mitki, ta myhsz, któhrą wyslal pan na der ksiąhszyc. Ale ja tam nie byłem. Zamiast tam…

– Co?? To niemohszliwe. Ktosz tu sobie ze mnie robi hszahrty. Ale… ale phszeciehsz nikt nie *wie* o rakiecie. Kiedy lot szię nie udal, nikomu o tym nie powiedzialem. Nie wiedział nikt poza mną…

– I mną, panie phrofesohsze.

Herr profesor ciężko westchnął.

– Phszephracowanie. Zatszynam, jak to hszię mówi, dosztawatsz der hszwira…

– Nie, panie phrofesohsze. To naphrawdę ja, Mitki. Tehraz pothrafię mówitsz. Tak jak pan.

– Mówihsz, hsze pothrafihsz… Nie, nie wiehszę tszi. Dlatszego tszię nie widzę? Gdzie jesztehsz? Dlatszego nie…

– Schowalem hszię, panie phrofesohsze, w sztszianie, w tej wielkiej dziuhsze. Chcialem hszię upewnitsz, hsze whszysztko jeszt okej, zanim sam hszię panu pokahszę. Tehraz mohsze pan hszię tak bahrdzo nie wysthrahszy i nie hszutszi tszymsz we mnie.

– Co? Dlatszego, Mitki, jehszli to hszetszywihsztsze ty, a ja nie szpię, ani nie dosztaję… Mitki, phszetsziehsz dobhsze wiesz, hsze nic takiego nie mógł bym zhrobitsz.

– Okej, panie phrofesohsze.

Mitki wyszedł z dziury w ścianie i profesor popatrzył na niego, a potem przetarł oczy, spojrzał jeszcze raz, przetarł oczy i…

– A *jednak* ohszalalem – stwierdził w końcu. – On ma na sobie tszehrwone szpodnie i hszólte… Nie, to nie mohsze bytsz phrawda. Ja ohszalalem.

– Nie, panie phrofesohsze. Phrohszę mnie posluhatsz, whszysztko panu opowiem.

I Mitki mu opowiedział.

Szary świt i mała szara myszka, opowiadająca mu wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami i szczerze.

– Ale Mitki…

– Tak, panie phrofesohsze. Ja rozumiem pański punkt widzenia. Pan uwahsza, hsze inteligentna rasa ludzi oraz inteligentna rasa myhszy, nie mogą wszpólisztnietsz razem, obok sziebie. Ale phszetsziehsz to nie muhszi bytsz tak zupelnie obok hsziebie. Tak jak panu mówilem, na najmniejhszym kontynentszie, Ausztralii, miehszka bahrdzo niewielu ludzi. Und phszewiezienie ich z powhrotem i ofiahrowanie tego kontynentu nam, myhszom, nie kosztowaloby zbyt wiele. Moglibyszmy nazwatsz ją Mausztralią, zamiast Ausztralią, a jej sztolicę zamiaszt Sydney, nazwalibyszmy Disney, ku tszczi …

– Ale, Mitki…

– Niech pan tylko poslucha, panie phrofesohsze, co mohszemy zaoferowatsz za ten kontynent. *Whszysztkie* myhszy tam hszię wyniosą. Ucywilizujemy pahrę z nich, a te pahrę pomohsze nam wylapatsz inne i sphrowadzitsz je do emitehra phromieni. Te inne pomogą zlapatsz jehsztsze więcej i zbudowatsz więcej emitehrów. To whszysztko zatsznie rosnącz jak szniehszna kula sztatszająca hszię ze wzgóhsza. Und potem, podpihszemy pakt o nieaghresji mit ludszie i zohsztaniemy juhsz na zawhsze w Mausztralii, uphrawiając dla hsziebie jedzenie ohraz…

– Ale, Mitki…

– Herr phrofesohsze, niech pan poslucha, co jehsztsze mohszemy ofehrowatsz wam na wymianę! Znihsztszymy wahszego najwiękhszego whroga — der sztszura. My tehsz ich nie kochamy. A jeden batalion zlohszony z tyhsziąca myhszy, uzbhrojonych w male bomby gazowe i maski gazowe, mohsze w tsziągu jednego lub dwu dni, w pohsztszigu za der sztszurami, dostatsz hszię do kahszdej dziuhry i eksztehrminowatsz whszysztkie sztszury w miesztsze. W tsziągu roku moglibyszmy zabitsz whszysztkie sztszury na całym szwietszie, i jednotszehsznie ucywilizowatsz whsztsztkie myhszy oraz wyslatsz je do Mausztralii, a potem…

– Ale, Mitki…

– Tak, panie phrofesohsze?

– To mogloby hszię udatsz, ale hszię nie uda. Moglibysztsze ekszterminowatsz der sztszury, tak. Ale ile by minęlo tszasu, zanim pojawilyby hszię konflikty intehresów, któhre dophrowadzilyby der myhszy do phróby ekszterminacji der ludzi, albo der ludzi do phróby ekszterminacji der…

– Ale nikt by hszię nie ohszmielil, panie phrofesohsze! Moglibyszmy zbudowatsz odpowiednią bhroń, któhra spowodowalaby…

– No widzihsz, Mitki?

– Ale, to hszię wcale nie muhszi wydahszytsz. Jehszeli ludzie będą honohrowatsz nahsze phrawa, my będziemy honohrowatsz…

Herr profesor ciężko westchnął.

– Dobhsze… będę twoim pohszrednikiem, Mitki i phszedsztawię twoją phropozycję. Und… No cóhsz, to phrawda, hsze pozbytszie hszię sztszurów będszie wielkim dobhrem dla rasy ludzkiej. Ale…

– Dsziękuję, panie phrofesohsze.

– Phszy okazji, Mitki. Mam Minnie. Jak mi hszę wydaje, to twoja hszona, chyba, hsze gdsziesz tu są jehsztsze jakiesz inne myhszy. Jeszt w dhrugim pokoju. Zanioslem ją tam tuhsz phszed twoim phszybytszem, tak hszeby miała tszemno i mogla pojsztsz spatsz. Tszy chcehsz hszię z nią zobatszytsz?

– Hszona? – powtórzył Mitki. To było tak dawno, że naprawdę niemal zapomniał już o swojej rodzinie, którą był zmuszony porzucić. Wspomnienia, powoli, wracały.

– Hmm – zastanawiał się, – … cóhsz, tak. Wehszmiemy ją i hszybko zbuduję maly projektohr phromieni X-19, a potem… Tak, jehszli będszie nas więcej, to pomohsze panu w pańskich negocjacjach z hsządami, poniewahsz whszyscy będą widszieli, hsze ja nie jesztem tylko jakimhsz wyhrykiem natuhry, jak mogliby podejhszewatsz w phszetsziwnym phszypadku.

To nie stało się umyślnie. Zresztą jakby mogło, skoro profesor nie wiedział o ostrzeżeniu przekazanym Mitkiemu przez Klarlotha, żeby uważał na elektryczność. „Der nowy uklad molekulahrny twojego mózghu — on jeszt niesztabilny, und…”

Tak więc profesor ciągle jeszcze był w oświetlonym pomieszczeniu, kiedy Mitki wbiegł do pokoju, w którym Minnie przebywała w swojej klatce bez krat.

Spała, kiedy ją zauważył… Wspomnienia dawnych dni rozbłysły jak flesz, w jednej chwili wracając do niego, i nagle Mitki zrozumiał jak bardzo czuł się samotny.

– Minnie! – zawołał, zapominając, że nie mogła go zrozumieć.

A potem wszedł na deskę, na której ona leżała.

– Piii! – Pisnął kiedy dopadło go łagodne wyładowanie prądu elektrycznego, pomiędzy dwoma paskami metalowej folii.

Na chwilę zapanowała cisza.

A potem:

– Mitki – zawołał Herr profesor. – Whrótsz na chwilę i phszedyskutujemy jehsztsze to…

Stanął w wejściu i zobaczył ich razem, otoczonych szarym blaskiem świtu. Dwie małe myszki przytulone do siebie i szczęśliwe. Nie wiedział, która jest która, ponieważ ząbki Mitkiego zerwały już z niego czerwono-żółte ubranie, które nagle stało się jakąś dziwną, krępującą i wstrętną rzeczą.

– Co u diabla? – spytał profesor Oberburger. W tej chwili, przypomniał sobie o napięciu i wszystkiego się domyślił.

– Mitki! Juhsz nie mohszesz mówitsz? Tszy to…

Cisza.

Potem profesor uśmiechnął się.

– Mitki – powiedział, – moja mala aszthro-myhszko. Myszlę, hsze tehraz będsziesz duhszo bahdziej sztszęszliwy.

Przyglądał się im przez chwilę, z czułością, a potem wyciągnął rękę i pstryknął przełącznikiem, który wyłączał elektryczną barierę. Oczywiście, nie zdawali sobie sprawy, że są wolni, ale kiedy profesor podniósł oboje i ostrożnie położył na podłodze, jedno z nich natychmiast umknęło do dziurki w ścianie. Druga myszka podążyła za pierwszą, ale nagle odwróciła się i obejrzała do tyłu — nadal ze śladem zainteresowania w małych, czarnych oczkach. Zainteresowania, które stopniowo nikło.

– Do widzenia, Mitki. W ten sposób, będsziesz sztszęhszliwszy. Und nigdy nie zabhraknie tszi sehra.

– Piiip – odparła mała szara myszka i wskoczyła do dziurki.

To mogło, ale nie musiało, znaczyć „Do widzenia…”.

KONIEC